

ROZDZIAŁ 12

Bartosz 'Rorsarch' Boroński

Zima, część 2

13

— Coś w planach Zgniatacza się nie powiodło. Wszczepy przestawały działać, ludzie tracili pamięć, niektórzy jednak ją odzyskiwali i zaczęli się buntować. Ja uniknąłem wszczepu, dzięki temu, że nosiłem zatyczki do uszu, jak tylko się dowiedziałem o karaluchach — zaśmiał się Jurek.

— Dwa lata temu Zgniatacz zniknął, i pojawił się dzisiejszy zarządca, zaraz potem nawiązaliśmy kontakt z Pancerniakami. Ludzie nie pamiętają zbyt wiele bądź nie chcą rozmawiać, dla nich ta osada istnieje od kiedy pojawił się nowy zarządca. Tak więc nie rozdrapuj starych ran.

— Widziałeś na własne oczy, jak ta kobieta ginęła? — spytał Rorsarch.

Po chwili zastanowienia, Jerzy odpowiedział smutnym tonem.

— Tak. Ale nie mogłem nic zrobić. Byłem w kanale wentylacyjnym, kiedy ją zobaczyłem. Kiedy później przeszukiwałem pomieszczenie, znalazłem tylko dyktafon.

— Dzięki za wszystko. — Rorsarch pożegnał się i wyszedł. Skierował swoje kroki do pierwszego z dwóch barów w Sektorze Pierwszym. Wszedł do środka i podszedł do kontuaru. Starszy już barman przyszedł, aby przyjąć zamówienie.

— Poproszę setkę wódki. Znasz może kogoś, kto pracował w Interstop Sience?

— Czemu pytasz?

— Bo wiem, że ktoś tutaj pracował w tamtej firmie i potrzebuję paru informacji.

— Więc się wygadał? Tak, ja pracowałem w Interstopie i tylko Jurek i ja i teraz ty o tym wiemy. I lepiej żeby tak zostało.

— No dobra, byłem niedawno w ruinach waszego laboratorium i trafiłem na to. — położył na kontuarze szkice implantów.

— Projekt 16. Nie pracowałem przy tym, ale słyszałem o nim. Opracowywali cybernetyczne ręce, które miałyby docelowo większą siłę niż ludzkie. To był jakiś projekt cywilno-wojskowy, wiem jeszcze, że opracowywali taki sam, z numerem 17 chyba, ale nie wiem nic więcej o tym. W głównym komputerze byłoby wszystko, ale impuls zapewne zniszczył dane. Ja pracowałem przy robotach i próbach skopiowania Skynetu do nich, ale nie mieliśmy nośnika, który by nam to umożliwił, więc nie opracowaliśmy nic takiego.

— Dzięki, nie wiesz może, czy ktoś ma rakiety do odsprzedania?

– Adrian czasem robi takie rzeczy, siedzi tam w kącie. Pogadaj z nim, to ci zrobi.

Rorsarch udał się we wskazanym kierunku i dosiadł się do stolika, przy którym siedział mężczyzna w kombinezonie mechanika.

– Potrzebuję rakiet. – zaczął bezpośrednio Rorsarch

– A ja potrzebuję drinka. – odparł bezceremonialnie Adrian.

Rorsarch popatrzył uważnie na cennik i stwierdził:

– Dostaniesz forszę na dziesięć drinków, jak dostanę rakiety. Dziesięć najtańszych drinków.

– Piętnaście i dostarczę rakiety jutro rano we wskazane miejsce.

– Zgoda.

Rorsarch wyjął z kieszeni żetony i odliczył czterdzieści pięć krążków, po czym położył je na stoliku.

– Dostarcz je do Sektora Drugiego, pod siódmą.

– Zgoda, szefie. Barman! Jeszcze jednego!

Zostawił uradowanego mechanika i wychodził już z baru, gdy zauważył znajomą postać, przy jednym ze stolików. Dosiadł się i zaczął:

– Czyżby kult Lamy przeniósł się na północ?

– Raczej poszukuję artefaktów, z nimi związanymi. – odparła William.

– Artefaktów? Czego na przykład?

– Żywa lama. Jest tutaj chłodno i mogła przeżyć w takim klimacie.

– O ile nie rozerwały jej Yeti albo nie wchłonęły śniegosze.

– Jeśli pomożesz mi w poszukiwaniach...

– Nie, nie, nie. To tak jakbym szukał zapalniczki, którą miał mój dziadek, który mieszkał w Warszawie.

– A może jednak? Nie wiesz co możesz dostać w zamian.

– Wolę odmówić, dziękuję za rozmowę.

Szybko wstał i wyszedł, na wszelki wypadek klucząc po kompleksie, żeby go nie znalazła. Dotarł do swojego mieszkania i zasnął. Kiedy wstał i zjadł śniadanie, pukanie do drzwi zasygnalizowało przybycie rakiet śnieżnych. Odebrał je i podziękował, wyraźnie skacowanemu, ich twórcy. W nocy spadło jeszcze więcej śniegu, przez co okazja do ich przetestowania nadeszła bardzo szybko. Może nie był w stanie w nich biegać, ale na pewno poruszał się szybciej niżli brodząc w śniegu. Po niecałej godzinie dotarł do laboratoriów Interstop, po czym ruszył w kierunku Świecia, aby zlokalizować bazę wojskową. Podróż zajęłaby mu około dwunastu godzin nieprzerwanego marszu, więc postanowił znaleźć

jakieś miejsce, gdzie mógłby nocować, bez obawy zamrożenia bądź zjedzenia. Poza tym miał do przebycia Wisłę, która mogła być skuta lodem, ale nie musiała. Zdecydował dotrzeć do Chełmży i znaleźć tam jakieś schronienie na przyszłość. Następną taką bazą byłoby Chełmno a stamtąd już blisko do Świecia. Jedynym problemem pozostawało przeżycie nocy. Temperatura spadała poniżej zera, w Toruniu było to minus dziesięć stopni, natomiast im bliżej granicy śniegu, tym zimniej się robiło. W grę wchodził jakiś przenośny grzejnik czy silnik, generujący dużo ciepła. Postanowił wykręcić coś zdatnego do użytku z jakiegoś samochodu. Nikt ich nie rozkręcał, bo ropa była rzadkością a pojazdy na silnik termojądrowy wykorzystywane były jedynie przez wojsko, cywile mieli do nich bardzo ograniczony dostęp. Zaczął się zastanawiać, skąd weźmie benzynę do takiego silnika. Samo paliwo nie powinno zamarznąć, przynajmniej takie bezdodatkowe. W bakach samochodów zwykle nie było go wiele, ale z drugiej strony nie sprawdzał w jakiś opuszczonych miejscowościach w tej okolicy. Zimno skutecznie wypędzało stąd szabrowników, więc mógł się spodziewać całkiem niezłych rezultatów. Póki co podążał w stronę Chełmży, zamierzając znaleźć jakieś schronienie. Podróż zajęła mu blisko cztery godziny, ale dotarł do celu, nie spotykając żadnych miejscowych mutantów. Chełmża wydawała się bezpieczna pod względem promieniowania, śnieg jednak przykrył wszystko to, co znajdowało się na poziomie ulicy. Warstwa radioaktywnego puchu sięgała pierwszego piętra, więc trzecie i wyższe stawało się dopiero bezpiecznym schronieniem. Po blisko godzinie znalazł mały, ciasny pokoik, do którego dało się wejść jedynie dzięki równie ciasnemu kanałowi wentylacyjnemu. Mając kilka pomysłów na barykadę jedynego wejścia, ustanowił to miejsce swoim schronieniem. Pozostawała kwestia ogrzewania, bo sama kanciapa nie zawierała nic, co mogłoby służyć za źródło ciepła. Poszukiwania samochodu i sprawnego silnika w tej okolicy były skazane na porażkę, ze względu na zalegający opad atmosferyczny. Skierował się do Torunia, postanawiając po drodze odwiedzić leże Yeti i wybadać sytuację. Musiał nieco zboczyć z trasy, gdyż siedziba zmutowanych małp, które jakimś cudem znalazły się w Polsce i zmutowały, znajdowała się nieco za osadą. Sam tempo mutacji nie było niczym dziwnym, pomimo GeoDefa, spore ilości promieniowania spadały na ziemię razem z fragmentami rakiet, choć nie były skoncentrowane w jednym miejscu. Nie zabijały w większości przypadków, ale dokonywały dużych zmian na poziomie DNA. Tak dużych, że w ciągu kilkunastu lat

powstały gatunki, których nawet najbardziej szalony pisarz by nie przewidział. Po czterech godzinach dotarł w okolice leża Yeti. Okolica, już niemal bez śniegu, usłana była szczątkami ludzi, a przynajmniej kości wyglądały na ludzkie. Rorsarch zastanawiało, czemu nikt przedtem nie wyczyścił tego legowiska. Leżało dość blisko Torunia, robota dla kilku snajperów wspomaganym przez ciężką broń, którzy wyczekaliby, aż Yeti wyruszą na żer. Ostrzał z daleka, jakby któreś podeszło bliżej, to po prostu zostałyby naszpikowane ołowiem. Kiedy zbliżał się do jaskini, która powstała po zapadnięciu się jakiegoś podziemnego garażu, szczątki coraz liczniej słały ziemię, niektóre jeszcze z kawałkami mięśni. Leże miało najprawdopodobniej jedno wyjście, zawalenie okolicznego budynku powinno je zasypać i uwięzić mutanty pod ziemią, aż zdechną z głodu. Albo znajdą inne wyjście. Nagle czujnik ruchu ostrzegł go i błyskawicznie odskoczył w bok. Za nim bezgłośnie skradał się Yeti, którego zdradziło wejście w zasięg sensorów. Dwumetrowa, porośnięta białobrunatnym futrem małpa, z olbrzymimi łapami i pyskiem schowanym pod kłębami sierści, wydała z siebie ryk, który mógł zwabić resztę stada. Rorsarch, ciesząc się z tego, że zdjął rakiety i schował je w pobliskim budynku, zaczął biec w stronę ruin, chcąc znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, z którego mógłby wykończyć bestię. Sprint po całodniowym marszu i z karabinem na plecach nie należał do najłatwiejszych czynności, ale adrenalina czyniła cuda. Yeti rzuciło się za nim, odrywając po drodze fragmenty budynków i starając się rzucić w uciekiniera. Ciała miało bardzo słabego, więc niemal każdy fragment ściany rozbijał się o inne budynki. Biegący Rorsarch zauważył ciasną uliczkę, która powinna zablokować barczystą małpę. Wskoczył w nią i odetchnął z ulgą, widząc, że ta nie może przejść. Wyjął pistolet i oddał kilka strzałów, zadając mutantowi niewypowiedziany ból, ale nie zwalając go z nóg. Wymierzył w końcu tam, gdzie podejrzewał, że są oczy i wypalił. Yeti zadrżało agonicznie i runęło na ziemię. Tak jak podejrzewał, wycie spowodowało dwójkę mutantów, która rozglądała się po okolicy, więc postanowił uciec okreśną drogą, wziąć rakiety i wrócić do kompleksu. Po blisko godzinie, wykończony wrócił do osady, gdzie ledwo wrócił do mieszkania, poszedł spać. W nocy przyśniło mu się rozwiązanie problemu spania poza osadą, prostsze niż wykręcanie silników.

*

Rano wszedł do kuchni, w której stała stara kuchenka gazowa. Po szybkim demontażu wyjął z niej kilka przewodów i palnik. Potrzebował jeszcze paliwa, które przed Wojną było szeroko dostępne – gaz. I jeszcze jakiejś pompki, dzięki której wtłoczyłby je do zbiornika. Ostatecznie postanowił nie babrać się z tym i znaleźć jakiś sklep albo magazyn z tym. Opuszczony i nierozkradziony. Toruń odpadał, ale miasteczka na północy nie były celem wypraw szabrowników, więc pomimo śniegu, może coś dałoby się znaleźć. Zjadł śniadanie, odebrał ładunki wybuchowe i postanowił wykończyć sprawców jego wczorajszego przemęczenia a potem poszukać paliwa. Po godzinie podkradania się był u celu, uzbroidł ładunki i umieścił je przy podstawie sporej kamienicy. Zapalnik miał zainicjować wybuch po kwadransie, który Rorsarch postanowił przeczekać w pewnej odległości, obserwując po jakimś czasie zawalenie się budynku, który zasypał wejście i mieszkańców leża. Z tego co się dowiedział, w takim leżu żyło od pięciu do dwunastu Yeti, ale mało kto miał odwagę podchodzić bliżej, gdyż pomimo swoich gabarytów, potrafiły niezauważenie podejść ofiarę. Wielu śmiazków kończyło w najlepszym przypadku z brakującymi kończynami, ci którzy mieli mniej szczęścia stawali się ważnym elementem piramidy żywieniowej mutantów. Teraz jednak, liczebność futrzastych morderców spadła. Poszukiwania gazu zaczął od niedalekich miast i miasteczek, takich jak Grębocin czy Lubicz. Niemal wszystko było rozkradzione, ale ocalało kilka butli z zawartością. Jednak targanie pięciolitrowych zbiorników przez te dwadzieścia kilka kilometrów do Chełmży nie należało do najłatwiejszych rozwiązań. Szczególnie po śniegu, który nie zawsze wytrzymał dodatkowe kilka kilogramów obciążenia. Mimo wszystko, Rorsarch tachał pokryty zielonkawą farbą baniak, mając nadzieję, że nie spotka żadnego przedstawiciela lokalnej fauny. Niestety, dwójka śniegoszy akurat przemierzała okolicę, poszukując czegoś, co mogłyby wchłonąć. Ucieczka ze zbiornikiem nie wchodziła w grę, przynajmniej nie taka, która byłaby skuteczna. Nie mając czasu na myślenie, rzucił baniak kawałek od siebie i pobiegł do najbliższych zabudowań. Zmutowane ślimaki skierowały się w stronę butli, po czym przywarła do jednego z nich.

— No, kurwa jebana w psią dupę mać! – krzyknął Rorsarch, obserwując całe zajście. Postanowił nie oddać butli za darmo i zaczął strzelać do śniegosza, który nie zauważał kul, pogrążających się w jego ciele. Jedna z nich trafiła w zbiornik, z którego zaczął uciekać gaz. Kilka kolejnych strzałów, posłanych już celowo w stronę zielonego pojemnika

wywołało iskry, które zapaliły zawartość butli, która rozerwała okoliczne powietrze, butlę i śniegosza. Kompan zabitego mutanta stracił tylną część ciała, ale podróżował dalej, każdą w inną stronę. Pierwszy nie miał tyle szczęścia, przytwierdzona butla z paliwem spowodowała rozległe obrażenia, które odsłoniły wnętrze śniegosza. Okoliczny śnieg zaczął się topić a spojrzenie na zegarek uświadomiło Rorsarcha, że nie zdąży wrócić do miasta przed nocnym mrozem. Pozostała tylko jedna alternatywa, która odstraszała smrodem ale zachęcała możliwością przeżycia. Wnętrze mutantu było ciepłe i cuchnące, po otuleniu się bebeczami wciąż ciepłego trupa, próbował zapaść w sen, czego nie ułatwiał fetor. Po blisko godzinie wiercenia się, zasnął. Obudził się nad ranem, stwierdzając, że powoli ogarnia go chłód. Śmierzący, oblepiony sztywnymi już wnętrznościami śniegosza, wyszedł na zewnątrz. Była siódma rano i śnieg powoli przestawał padać. Opad pojawiał się głównie w nocy w tych rejonach, ale zdarzały się zamiecie nawet za Toruniem. Było to podobno typowe dla tej pory roku w tych rejonach. Jak na południu różniła się jedynie porę suchą, tutaj była zimna i zimniejsza. W trakcie tej drugiej pojawiał się śnieg w dużych ilościach a temperatury spadały o blisko dziesięć stopni. Trwała dość krótko, ledwo dwa miesiące, ale przetrwanie na zewnątrz w tym czasie było niemal niemożliwe bez źródła ciepła. Rorsarch był głodny i spragniony, śnieg co prawda był źródłem wody, jednak nieco radioaktywnej. Po kilku garściach poczuł, że jest już w stanie dotrzeć do Torunia. Śniegu było coraz mniej, więc tempo marszu wzrosło. Kiedy był kilka kilometrów od miasta, zauważył dwójkę ludzi w futrach, niosącą jakiś pojemnik. Dłuższe wpatrywanie się w nich przez lornetkę ujawniło swastyki na ich okryciu. Podejrzewając, że pod futrem kryją się panczerze, postanowił nie strzelać w tułów. Nie mieli hełmów, które nie mieściły się najwyraźniej pod kapturami. Szybka decyzja i Rorsarch już celował w głowę pierwszego, po czym nacisnął spust. Ukryty za jakimiś zabudowaniami, miał pewną przewagę, nad pozostałym przy życiu członkiem tego miniaturowego konwoju, który natychmiast zdjął karabin z pleców i padł za skrzynką. Rorsarch przeczołgał się pod murkiem i zmienił pozycję strzelecką, co zaowocowało drugim strzałem, który trafił nazistę, wychylającego się zza skrzynki. Dźwięki strzałów musiały zwabić okoliczne Yeti, które rykiem zwoływały się aby odeprzeć ewentualne zagrożenie. Wiedząc, że nie ma dużo czasu, podbiegł do skrzynki, szybko przestrzelił zamek i znalazł w środku kilkanaście zbiorników do miotaczy ognia. Zastanawiając się, kto wysłał dwójkę ludzi z taką dostawą, szybko

wyjął jeden z nich i pobiegł z nim do najbliższego budynku. Zostawił go tam i zrobił to samo z kolejnym. Wtedy dostrzegł piątkę Yeti, kierującą się w stronę trupów. Schował się i obserwował, jak mutanty zrywają pancerze i futra a następnie rozrywają na kawałki i konsumują nazistów. Jedna z małych wyjęła zbiornik z paliwem i wyrwała zawór, co spowodowało oblanie jej łatwopalną cieczą. Żałując, że nie ma nic, co mogłoby spowodować zapłon, Rorsarch oglądał jak Yeti rzucają na odległość zbiornikami z drogocennym dla niego paliwem. Walka z nimi nie wchodziła w grę, trafienie ruchomego celu między oczy graniczyło z cudem, a trafienie czwórki, jaka rzuci się na niego po pierwszym strzale? Kiedy mutanty zniszczyły wszystkie zbiorniki i zjadły trupy, oddaliły się w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Rorsarch udał się do Torunia, gdzie jak się dowiedział, kończyła się zimniejsza pora. Oznaczało to lekkie ocieplenie i temperatury powyżej zera stopni przez niemal cały dzień. Przynajmniej w okolicy miasta, gdyż im dalej na północ, tym zimniej. Za Grudniędzem pogoda nigdy się nie zmieniała, zawsze było zimno i zalegała gruba warstwa śniegu. Jednak zanim będzie w stanie dojść na piechotę do Świecia bez możliwości zamrożenia miną około trzy miesiące, a tyle czasu nie miał. Posiadał już paliwo, co prawda szbykospalające, ale w małych dawkach powinno wystarczyć na ogrzewanie. Aparatura nie była problemem, posiadał trochę gratów z rozkręconej kuchenki więc był w stanie zмайstrować mały miotacz ognia. Zbiorniki były schowane w miejscu spotkania z mutantami, nie przyniósł ich ze sobą, bo były zbyt ciężkie. Po odpoczynku i nocy, przespanej w komfortowych warunkach, wyruszył w kierunku Chełmży, po drodze zabierając jedną z butli. Koło miasta zalegała już grubsza warstwa śniegu, co ograniczyło mobilność Rorsarcha, ale był w stanie wejść do swojej kryjówki i zainstalować oraz przetestować sklepkony palnik. Nagrzął pomieszczenie dość szybko, ale zużył blisko połowę paliwa. Ponieważ zostało mu jeszcze kilka godzin przed zapadnięciem zmroku. Zbyt mało, żeby dotrzeć do Chełmna, ale dość dużo, żeby dokonać zwiadu wzdłuż dawnej drogi. Drzewa, rzadkość na południu, tutaj stanowiły pojedyncze skupiska, służące często za schronienie mutantom. Trafił po drodze na kilka takich grup, nie zbliżając się zbyt, aby nie zostać zauważonym przez możliwych mieszkańców. Okolica była ogółem spokojna, nie natrafił na żadne ślady ludzkiej bytności, jednakże gruba warstwa śniegu nie ujawniała śladów niczyjej bytności. Wrócił do wymarłego miasta, na pierwszą noc poza Toruniem w dość przyjaznych warunkach. Wlał trochę paliwa do

zbiornika i podpałił, zmniejszając maksymalnie płomień, co powinno spowolnić znikanie surowca, po czym poszedł spać. Nad ranem stwierdził, że nie całe paliwo spłonęło, a on nie czuł się wychłodzony, więc jego sposób zadziałał. Tym razem miał ze sobą zapasy, które nie zamarły, więc był w stanie skonsumować śniadanie. Włączył nakładki grzewcze, które chroniły go przed wychłodzeniem w trasie, jednak ładowały się jedynie poprzez poruszanie się nosiciela, więc były nieprzydatne w nocy i wyszedł z miasta, zabierając ze sobą palnik i paliwo, zamierzając dotrzeć do Chełmna i rozbić tam swój miniaturowy obóz. Po blisko pięciu godzinach marszu, zauważył świeże ludzkie tropy na śniegu. Schował swój cenny palnik w pobliskich ruinach i zaczął iść tym tropem. Blisko kilometr dalej dostrzegł kolejne tropy, tym razem należące do dwóch bosych, wielkich stóp. Od tego momentu oba ślady oznaczone były krwią. Rorsarch wyjął karabin i przez lunetę obserwował teoretyczny kierunek tropu. Nic nie widział, więc szedł dalej. Kolejny kilometr dalej znalazł ludzką rękę, całą we krwi, z nożem w garści, a obok kilka organów wewnętrznych, które na pewno nie należały do człowieka. Kilka kroków dalej leżał trup Yetiego, z rozplataną jamą brzuszną i ludzką nogą w łapie. Obok leżał trup człowieka, a właściwie kawałki trupa. Najprawdopodobniej podróżnik został zaskoczony przez mutanta, ale zdołał go zranić nożem, potem uciekał aż zadał mu ranę ciętą przez całe podbrzusze, po czym wepchnął w nią nóż, rozcinając wnętrza i powodując ich wypadnięcie podczas poruszania się Yetiego. Ten urwał mu rękę, a następnie po krótkim pościgu urwał mu nogę a potem kolejne kończyny aż rozerwał nieszczęśnika na strzępy. Sam mutant zmarł z powodu obrażeń wewnętrznych i wykrwawienia. Zastanawiając się, czemu podróżnik nie użył broni palnej, czy też jej nie miał, zaczął przeszukiwać truchło. To co znalazł, przeszło jego oczekiwania. W kieszeni tego człowieka znajdował się najprawdziwszy pistolet energetyczny! Tylko Pancerniaczy dysponowali takowymi i mimo luźnego sojuszu, nie dzielili się tą technologią z nikim. Nie znalazł amunicji, co tłumaczyło konieczność walki nożem. W klapie płaszcza znalazł wpiętą małą swastykę oraz pistolet, oznaczenie sił zbrojnych Łodzi. Kiedy to odkrył, zrozumiał, że jest to najprawdopodobniej szpieg, który miał wykraść broń i dostarczyć nazistom. Nie wziął jednak żadnej broni palnej, przez co skończył marnie, rozerwany przez Yetiego. Ponieważ czas uciekał, Rorsarch wrócił się po palnik i razem ze zmrokiem dotarł do Chełmna, gdzie znalazł jakąś małą piwnicę, którą ogrzał i wlał połowę

pozostałego paliwa, aby przez noc chroniło go przed zimmem. Paliwo jednak zużyło się w całości i Rorsarch obudził się nieco wyziębiony. W miarę możliwości pobiegał trochę po ciasnym pomieszczeniu, co rozgrzało go i dostarczyło energii do nakładek. Zjadł część zapasów i wyszedł ostrożnie na powierzchnię. Śnieg był tutaj bardziej zbity i coraz mocniej radioaktywny. Zbliżał się do granicy wiecznego śniegu, więc nie dziwiło go to. Wisła zamarzła, co było sporym udogodnieniem, gdyż okoliczny most został przerwany. Blisko dwie godziny później, już na drugim brzegu, zauważył nazistów. Był to pięcioosobowy patrol, uzbrojony od stóp do głów. Powoli przekradając się między ruinami, zauważał coraz więcej patroli i sprzętu wojskowego. W głębi miasta, nie zauważył już odzianych w pancerze strażników, tylko ludzi w płaszczach i futrach, z metalowymi swastykami, wpiętymi w ich odzienie. Rorsarch był posiadaczem jednej z nich, ale wolał nie ryzykować. Co prawda znał niemiecki, ale nie wiedział, czy stosują jakieś szyfry bądź specjalne komendy. Przekradanie się między zabudowaniami było ryzykowne, ze względu na potencjalnych snajperów w oknach, ale to była jedyna metoda podróży. Po godzinie takiej niewygodnej podróży dotarł do kompleksu wojskowego, którego żelazne wrota były wysadzone a obok czekała ciężarówka. Rorsarch schował się w jednym z okolicznych budynków i przez lornetkę obserwował co robią naziści. Po blisko godzinie czwórka z nich wyniosła jakiś walec a chwilę później kolejna czwórka zrobiła to samo. Załadowali wszystko do ciężarówki, która odjechała, natomiast żołnierze zostali. Podłożyli ładunki w miejscu dawnych wrót i odeszli, a chwilę później eksplozja zamknęła kompleks. Rorsarch nie musiał długo się zastanawiać nad tym, co wynieśli. Najprawdopodobniej jedyną cenną rzeczą były głowice nuklearne, które właśnie zostały wywiezione przez nazistów. Wycofał się do swojej kryjówki, gdzie spędził noc.

*

Po kilku dniach wrócił do Torunia, gdzie zdał raport w placówce Pancerniaków i odebrał wypłatę. Ponieważ nie było żadnej pracy, postanowił udać się do Bydgoszczy i nawiązać kontakt z Tyfusami. Zima zelała na tyle, że można było już w miarę bezpiecznie spędzać noce na zewnątrz, pod warunkiem posiadania dość ciepłych ubrań. Samo miasto leżało po drugiej stronie Wisły, więc musiał znaleźć jakiś stojący most.

Pancerniacy zaczęli powoli tworzyć sieć umocnień i placówek obserwacyjnych w okolicy, więc postanowił skorzystać z tego udogodnienia. Póki co, dopiero poszukiwali odpowiednich punktów, ale mieli już małą bazę w Czarnowie, gdzie również transportowali ludzi na drugi brzeg Wisły. Podróż tam zajęła niecały dzień, po spędzeniu nocy w małej bazie, został przeprawiony do dawnego Solca Kujawskiego i otrzymał zadanie dostarczenia rozkazów do zwiadowców, którzy przebywali w Bydgoszczy. Samo miasto przedstawiało żałosny i napromieniowany wrak metropolii. Niegdyś rozległe, teraz ograniczyło się do samego centrum, gdzie znajdował się schron i siedziba Tyfusów. Byli oni kultem, rządzonym najprawdopodobniej przez Skynet. Najprawdopodobniej, gdyż jak się dowiedział Rorsarch, wolę ichniego Boga przekazywał Najwyższy Kapłan a czasem i ponoć sama sztuczna inteligencja, przez głośniki. Nikt poza Najwyższym nie widział komputera, więc mało kto z zewnątrz wierzył w to, że Skynet przetrwał. Samych Tyfusów było około pięciu tysięcy, wszyscy byli zieloniakami, którzy przed Wojną byli ludźmi, jednak nie udało im się schronić przed promieniowaniem i w wyniku jego działania, stali się odrażającymi mutantami, jednak zachowali ludzkie cechy. Ich zdolność do regeneracji była już legendarna, pomimo krótkiego trwania ich gatunku. Niemal co chwilę odpadały im gnijące kawałki skóry, które zastępowany były nowymi, to samo z kończynami. Zepsute tkanki wydzielały okropny odór, który odstraszał od nich ludzi. Zwiadowcy nie spali w osadzie Tyfusów, mieli własne obozowisko. Po przekazaniu im zalakowanej koperty, wdał się w rozmowę:

– Co możecie mi powiedzieć o Tyfusach? – zaczął.

– Banda religijnych świrów, ale są spokojni. – odparł jeden z trzech żołnierzy. – Póki nie obrażasz Najwyższego albo Boga nie będą żywić do ciebie nienawiści.

– Ale ostatnio kilku z nich wyparowało i to zaczęło się to powtarzać. – dodał inny.

– Tak, podejrzewamy że sięgnęli w końcu po rozum, ale może ktoś ich porywa. Tylko po co?

– Może naziści? Skoro chcą wybić wszystkich, którzy nie są nimi, to zieloniaki są idealnym obiektem do eksterminacji. – włączył się do rozmowy trzeci zwiadowca.

– Jak mogę skontaktować się z Najwyższym? – spytał Rorsarch.

— Musisz pogadać z Haroldem. Chodzi w szacie z namalowaną gałęzią. Ponawia trochę o wspaniałości ich Boga i dopuści cię do rozmowy z Najwyższym. Kręci się zwykle po mieście, rozmawia z innymi zieloniakami.

— Dzięki.

Rorsarch udał się do centrum, powoli spotykając mieszkańców. Zwykle ubrani jak normalni ludzie, wykonywali zwykłe czynności, nie zauważając, że odpadają im kończyny i płyty skóry. W końcu i tak odrastały. Zauważył wysokiego zieloniaka, w szacie z wizerunkiem gałęzi. Podszedł do niego i przedstawił się:

— Witam, nazywam się Rorsarch. Harold jak mniemam?

— Witaj, zbłąkany wędrowcze. Jam jest Harold i racz mi opowiedzieć o naszym Wspaniałym. To on jednoczy nas w tych trudnych chwilach i jest oparciem przeciw tajemniczemu złu, które chce odebrać życie naszym niewinnym wyznawcom. Jest idealnym bytem, jego wiedza nigdy nie zaniknie, jak nasza, zamknięta w tych ludzkich, wadliwych umysłach. On jest gwarantem naszego przetrwania w tym niegościnnym świecie, to on nasz przygarnął, kiedy byliśmy rozbici. Czy i ty czujesz się rozbity?

— Nie, ale chciałbym porozmawiać z Najwyższym, o ile to możliwe.

— Najwyższy z chęcią cię zobaczy, zaraz cię zaanonsuję.

Poszli do wnętrza schronu, który był dość zadbane, natomiast pomieszczenie do którego weszli, było przyozdobione na świątynię. Wszędzie widniały napisy wychwalające Skyneta, natomiast na przeciwległym końcu stała mównica i głośniki. Przeszli przez nią, dochodząc do drzwi za mównicą. Harold wszedł i po chwili zawołał Rorsarcha, ten wszedł i w jego nozdrza uderzyła woń rozkładającego się ciała, mocniejsza niż ta bijąca od szeregowych zieloniaków. Ten tutaj był w niebieskiej szacie, która najprawdopodobniej ukrywała jego deformację. Harold wyszedł i zostawił ich samym sobie.

— Witam jestem

— Tak, wiem. Jesteś Rorsarch i potrzebuję ciebie.

— A ja potrzebuję dostępu do waszego Boga.

— Nazywaj rzeczy po imieniu. Chcesz pogadać ze Skynetem, czyż nie?

— Zgadza się, Najwyższy.

— Mów mi Jarek. I nie mów, że wierzysz w to wszystko, co wyznają ci za tymi drzwiami.

— A ty nie wierzysz? W końcu jesteś ich przewodnikiem.

— Kiedy nie zamknęły się drzwi i zaczął się chaos, trzeba było coś zrobić. Promieniowanie wypaczało ludzi z każdym dniem, odbierając im siły i chęć do życia. Ponieważ nikt nie włączył komputera, przeprogramowałem go trochę i niespodziewanie, dla tych ludzi, odżył i zaczął wykonywać wklepane przeze mnie polecenia. Zjednoczyłem tę garstkę, która nie popełniła samobójstwa bądź nie uciekła i stworzyliśmy nową religię. Z czasem wyłączyłem Skynet i zacząłem samemu rządzić. Włączam go czasem i wtedy przemawia do zgromadzonych, podtrzymując tę iluzję porządku. Żyło się nam spokojnie, ale ostatnio kilkunastu zieloniaków zniknęło. Wszyscy wyparowali i nie mieliśmy wieści o żadnym z nich. Jednak ostatnio znaleźliśmy trupa jednego z porwanych. Tak, porwanych, gdyż miał na ciele ślady, świadczące o torturach. Sam by sobie tego nie zrobił i na pewno nie strzeliłby sobie w tył głowy. Stworzyliśmy tutaj przytułek dla wszystkich tych zieloniaków, którzy chcą żyć w jakiejś społeczności a teraz to marzenie zaczyna upadać. Nie wiemy kto to robi ani dlaczego. I chcę, żebyś to zbadał.

— A dostanę jakiegokolwiek wskazówki?

— Wszyscy zaginęli na zachodzie miasta. Od tego czasu wystawiamy tam patrole i nie zapuszczamy się w te rejony, ale nie mamy pojęcia czy to się nie będzie powtarzać. Ogłoszę wśród moich ludzi, że możesz nam pomóc i oni dołożą wszelkich starań, żeby ułatwić twoje zadanie. Tylko zrób to, bo morale spada i lada dzień wszystko może pójść się jebać. A tego bym po prostu nie chciał.

— Sprawdzę tamten rejon, kiedy zaczęły się zniknięcia?

— Zaraz po tym, jak zelżały mrozy.

— A mogę zobaczyć zwłoki tego nieszczęśnika?

— Leżą w świątyni, w którymś kącie.

Rorsarch wyszedł i skierował się do zwłok. Nakryte płachtą, po odsłonięciu, ukazało się ciało zieloniaka, z kilkoma ranami kłutymi i dziurą w tyle czaszki, spowodowaną zapewne pociskiem. Dalsze oględziny ujawniły jeszcze jedną ranę postrzałową, na prawej kostce. Nie wyglądało to na tortury, raczej na jakiegoś pechowca, który napotkał jakąś bandę. Wrócił do Jarka i podzielił się swoimi spostrzeżeniami:

— Bzdura, pewnie jacyś ludzie go schwytali i torturowali.

— Człowieka torturuje się tak, żeby żył jak najdłużej i otrzymał potężną dawkę bólu. Ten natomiast został kilka razy pchnięty nożem a

podczas próby ucieczki postrzelony w nogę a następna kula trafiła w tył czaszki.

– Ktokolwiek to zrobił, chciał go zabić.

– A jak nazywał się ten umarłak?

– Wołali na niego Lemmy. Był miejscowym lekarzem, całkiem dobrym.

– No dobrze, zakładam że ten trup, to po prostu wypadek, wiesz coś jeszcze na temat tych porwań?

– Nadal sądzę, że ktoś zabił go celowo. – dodał zimnym tonem Jarek. – Bo widzisz, to był mój brat.

– Rozumiem, że chcesz się dowiedzieć, jak to się stało, ale to jest po prostu zwykłe zabójstwo. Nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że po prostu był narąbany i wylądował gdzieś, gdzie go nie chcieli i dostał parę razy nożem, albo zrobił coś poważniejszego i dlatego do niego strzelali.

– Nie masz racji. Nie możesz mieć! – wrzasnął Najwyższy. – On był bez skazy! Postawię mu pomnik, trwalszy niż ze spżu, za jego zasługi dla lokalnej społeczności!

– Skoro nie wiesz nic więcej na temat zniknięć, to dziękuję za współpracę.

Rorsarch wyszedł, słysząc tylko gniewne krzyki “To było morderstwo!”. Kiedy opuścił schron, zaczepił go Harold.

– Psst, człowieku, chodź tutaj. – powiedział, po czym odszedł w stronę ruin. Wyostrzając swoją czujność, ruszył za nim. Szli już jakiś czas, kiedy Harold znów się odezwał:

– Zapewne widziałeś szaleństwo naszego kapłana? Gotów ogłosić wszystkich winnymi śmierci Lemmiego i spróbować pozabijać.

– Nie wierzę w to, że to było porwanie, po prostu wpadł na kogoś, z kim się nie lubił i tyle.

– To samo mówiliśmy mu, kiedy znaleźliśmy jego ciało. Nie wierzył. No, doszliśmy.

Dotarli do jakiejś rudery, we wnętrzu której siedziało przy stole kilku zieloniaków.

– Panowie, oto Rorsarch. – przedstawił gościa Harold.

– Witam, – zaczął zielonoskóry człowiek w wojskowym mundurze. – chcielibyśmy ciebie wynająć do pomocy w naszym przewrocie.

– Przewrocie? Mogę dowiedzieć się coś więcej?

– Widzisz, my wiemy, że Wspaniała to maszyna. Jednak reszta naszej wspólnoty wydaje się tego nie rozumieć. Dopóki nie zginął

Lemmy, Jarek był czasem upierdliwy, ale dało się przeżyć. Ale po jego śmierci, oszalał. Kiedy przypomina sobie o nim, gloryfikuje tego chlejsa i chce znaleźć winnych jego domniemanego zabójstwa. Tymczasem nie zauważa tego, że dziennie znika kilka zieloniaków. Wspomniał coś o tym?

— Mało, nie mówił, że to ma regularny charakter. Znikają codziennie?

— Tak, o różnych porach dnia, pojedynczo. Wysłaliśmy kilka patroli, które nic nie znalazły. Wracając do przewrotu, chcemy go obalić i przejąć władzę. Problem w tym, że aby tego dokonać, potrzeba Skynetu, który ogłosi go uzurpatorem. My nie mamy dostępu do komputera, ty możesz pewnie mieć.

— Jeśli rozwiążę sprawę zaginięć, będę mógł użyć komputera. Czemu miałbym wam pomóc?

— Dwieście ogniw energetycznych, małych albo dużych oraz broń do ich używania. Mamy taki sprzęt, ukrywamy go przed Najwyższym. Energetyczny karabin snajperski to rarytas, niemal niespotykany poza elitarnymi oddziałami Pancerniaków. Dostaniesz go, jak nam pomożesz. Oraz możliwość zakupu amunicji w przyszłości.

— Dobra, dobra, co na to wszystko powiedzą Pancerniacy?

— Im też powoli się nie układa z aktualną władzą, nawiązujemy z nimi powoli kontakt. I tak nie możemy nic zrobić, dopóki ty nie dostaniesz dostępu do Skynetu. Wchodzisz w to? Jeśli nie, to zapomnij o tej rozmowie i odejdz, a nic ci się nie stanie.

— Wchodzę w to – oświadczył Rorsarch – Ale najpierw chcę zobaczyć broń, żeby się nie okazało, że mnie robicie w przysłowiowego chuja.

Jeden z zieloniaków podszedł do szafy i wyjął z niej rzeczony karabin. Zabójcza broń, chociaż na dystansach powyżej kilometra bezużyteczna, gdyż plazma po takim dystansie schładzała się i opadała na ziemię. Jednak niewiele pancerzy było w stanie rozprowadzić ciepło w taki sposób, żeby nie powstała dziura. Jedno ogniwo starczyło na pięć strzałów, i trochę ważyło, więc dwieście takich ogniw musiałby przenieść do swojego mieszkania.

— Okej, gdzie najczęściej znikają wasi współpracownicy?

— Zachodnia granica naszego miasteczka. Trafisz tam bez problemu.

Rorsarch pożegnał się i wyszedł. Nagroda jaką mu oferowali była warta każdego poświęcenia. Z taką bronią mało co było w stanie mu

zagrozić. Broń energetyczna była ogromną potęgą, jednak karabinów snajperskich było naprawdę niewiele egzemplarzy. Zastanawiając się, skąd wzięli amunicję i karabin, dotarł do zachodniej granicy miasta. Była opuszczona, znajdowało się jedynie kilka namiotów, w których dawno nie było ludzi ani nieludzi. Zbliżał się też wieczór, więc Rorsarch znalazł jedynie dogodny punkt obserwacyjny i wrócił od miasteczka, aby spędzić tam noc. Nad ranem natychmiast udał się do swojej strażnicy, gdzie zjadł śniadanie i obserwował teren. Zieloniacy powoli i ostrożnie pojawiali się w okolicy, szukając czegoś, czego jeszcze nie splądrowali. Nagle ciszę rozerwał okrutny jazgot i seria głośnych krzyków, które nagle umilkły. Rorsarch udał się biegiem w stronę, z której dobiegły dźwięki. Spóźnił się. Zobaczył jedynie plamę zielonej krwi i strzępy ubrania. Brudnozielony ślad ciągnął się kawałek i nagle się urywał. Wszedł na pierwsze piętro okolicznego budynku i dalej obserwował okolicę. Nagle zauważył kolejnego zieloniaka, poszukującego czegoś, co nie zostało dotychczas rozkradzione. Kręcił się chwilę po okolicy, gdy nagle Rorsarch zauważył przez lornetkę kilku ludzi, którzy chwiejnym krokiem, w obdartych łaćmanach. Na ich widok, zielonoskóry wyjął broń, ale było za późno. Ludzie błyskawicznie doskoczyli do niego, jazgocząc i gryząc go. Rorsarch czym prędzej wymierzył w jednego z napastników i powalił go celnym strzałem w głowę. Pozostali, widząc śmierć jednego z nich, rozerwali ofiarę i rozbiegli się. Jeszcze jeden padł na ziemi, postrzelony w nogę. Leżąc, podczołgał się do leżącej ręki, którą wyrwał zieloniakowi i zaczął ją konsumować. Rorsarch w międzyczasie podbiegł do trafionego stwora i zaczął go oglądać, trzymając go na muszce. Był to zwykły człowiek, który miotał się jak opętany i jednocześnie konsumował kończynę. Kiedy zobaczył strzelca, jego twarz wykręciła się w okropnym grymasie i zaczął wrzeszczeć. Obawiając się przybycia kolejnych osobników tego gatunku, zastrzelił potwora. Kiedy upewnił się, że jest trupem, przystąpił do dalszych oględzin. Człowiek był wychudzony, jego ręce i nogi były pogryzione. Większość zębów była połamana i ślady pasowały do tych z kończyn, zupełnie jakby próbował sam się zjeść. Zaciągnął ciało na nieco oddalony placyk i poprzecinał naczynia krwionośne, mając nadzieję, że zwabi to może innych przedstawicieli tej grupy. Obserwując zwłoki z bezpiecznej odległości, zastanawiał się, nad genezą tych stworów. Nie ulegało wątpliwości, że byli to ludzie. Bez żadnych deformacji czy zmian zewnętrznych. Wyglądali na wygłodzonych i oszalałych, zupełnie jakby uwstecznił się w ciągu tych kilkudziesięciu lat. Być może głód popchnął

ich do ostatecznej formy zdobywania pożywienia, jaką był kanibalizm. Poruszali się widocznie w małych grupkach, jakby wiedząc, że mają w ten sposób większe szanse przetrwania. Jednak jeśli zieloniacy znikali w takich ilościach, to albo była ich spora grupa, albo coś jeszcze porywało Tyfusów. Truchło zwabiło tylko lamingi, które rozszarpywały właśnie zdobycz. Skoro zdziczali ludzie poruszali się w grupach, najprawdopodobniej spędzali tak wolny czas. Rorsarch postanowił znaleźć ich legowisko, aby dowiedzieć się o nich więcej.

*

Po odpoczynku w mieście, Rorsarch postanowił wytropić zdziczałych ludzi. Nazwał ich Zdziczałymi, gdyż żadne inne określenie nie przychodziło mu do głowy. Na południe stąd nigdy nie spotkał się z kanibalizmem i taką degradacją człowieka, tutaj panowały jednak o wiele cięższe warunki. Głód, chłód, hordy mutantów. Nie zdziwił się, gdy zobaczył Zdziczałego, jednak zastanawiało go, dlaczego ci ludzie nie trafili do Torunia albo jakiejś innej osady na południu. Zamiast przeżyć w dość przyjaznych warunkach, stali się zombie, kierowanymi głodem. Zaspokajaniem poprzez konsumpcję mięsa ludzkiego. Było to jedyne jadalne mięso w tych okolicach, mutancie było napromieniowane albo niezdatne do ugotowania. Roślinność rosła jedynie na farmach hydroponicznych, które znajdowały się w Toruniu. Na zewnątrz był śnieg, promieniowanie, mutanty i ludzie. Mały wybór. Rorsarcha ciekawił sposób podróżowania. Czy zbierali się w te grupki tylko gdy znaleźli zdobycz? Czy też podróżowali w ten sposób poprzez Mroźne Pustkowia? A w końcu, ilu ich jest? Skąd się wzięli? Zniknięcia rozpoczęły się, jak tylko odpuściły najtwardsze mrozy. Albo Zdziczali przeżyli mrozy, głodując a teraz wyruszyli na polowanie, albo przybyli tutaj z południa. Druga opcja była mało prawdopodobna, gdyż nigdy przedtem nie słyszał o takiej formie uwstecznienia. W takim razie, gdzie przetrwali zimę? Myśląc nad tym skierował się ponownie do zachodniej części ruin, aby wytropić jakiegoś Zdziczałego. Pod względem fizjonomii byli to zwykli ludzie, więc z tropieniem ich nie powinno być żadnych problemów. Mieli zbyt mało czasu, aby wykształcić jakieś nadwrażliwe organy zewnętrzne, pomagające im namierzyć ewentualnego prześladowcę. Poza tym, musieli pojawić się niedawno, skoro nikt przedtem mu nie powiedział o takowych stworach. Przesiadując w zrujnowanym sklepie spożywczym, jak twierdził

zdevastowany sztyd, obserwował okolicę. Po jakimś czasie znów pojawili się najodważniejsi zbieracze a chwilę potem zauważył Zdziczałego. Szedł lekko zgarbiony, skradając się w stronę zbieracza. Zaraz potem pojawiło się kilku kolejnych i nieszczęśnik został wnet rozerwany na kawałki. Każdy ze Zdziczałych pobiegł w inną stronę, natomiast Rorsarch podążył śladem tego, którego zauważył pierwszego. Po blisko kilometrze pościgu, Zdziczały zwolnił i zatrzymał się, aby skonsumować swoją zdobycz. Kiedy to zrobił, położył się na ziemi i najprawdopodobniej zasnął. Niedługo potem przybyły kolejne bezmyślne istoty, kładąc się w okolicy. Było ich ośmiu, wszyscy leżeli i odpoczywali po posiłku. Po kilku godzinach, gdy zapadał wzrok, wstały i ruszyły stadnie na kolejne polowanie. Rorsarch podejrzewał, że nie jest to jedyna grupa tych stworzeń w okolicy. Jednak czy hipotetyczne inne grupy komunikowały się między sobą? Walczyły o terytorium? Wspomagając się noktowizorem, wrócił do Tyfusów, relacjonując swoje odkrycie dowódcy miejscowego zwiadu Federacji, który postanowił wraz ze swoim oddziałem udać się z Rorsarchem na polowanie następnego dnia. Wyruszyli z samego rana, trójka ludzi plus dowódca i Rorsarch. W leżu, które odkrył wczoraj, było pusto, więc zaczęli się w okolicy. Pomimo czekania przez pół dnia, żaden Zdziczały nie powrócił. Rozpoczęli poszukiwania, które zaowocowały ustrzeleniem ledwo jednego osobnika. Wyruszyli na zachód, gdzie mieli nadzieję spotkać więcej Zdziczałych. Zastanawiające było jednak, czemu porzucili swoje terytorium łowieckie, które zapewniało im wyżywienie? Rozbili mały obóz, gdy zapadł zmrok i spędzili noc, zmieniając się na warcie. W nocy słychać było czasem jęki Zdziczałych, ale żaden nie podszedł blisko, bądź nie wiedzieli o tej ekspedycji. Nad ranem wyruszyli z powrotem do Bydgoszczy, jednak napotkana grupka kanibali zmusiła ich do pogoni za nimi. Podczas pogoni specjalnie zastrzelili tylko połowę osobników, aby odnaleźć ewentualne leże. Jednak kiedy Zdziczali zmęczeni się ucieczką, zawrócili i przeszli do szaleńczej szarży, przzerwanej kilkoma strzałami żołnierzy. Podbiegli do trupów i zauważyli, że jeden z nich jeszcze żyje. Przygwoździli jego kończyny a Rorsarch podszedł i spróbował się skontaktować z leżącym. Ten zdołał tylko wydać kilka niezrozumiałych jęków ze swojej gardzieli, po czym zmarł. Wszyscy Zdziczali byli wychudzeni, z połamanymi zębami i pogryzionymi kończynami. Byli dosyć wytrzymali, jednak w starciu z bronią palną nie mieli najmniejszych szans. Rorsarch postanowił wraz z patrolem spędzić kolejną noc, tym razem na obserwacji okolicy.

Przy pomocy noktowizorów, zauważyli jak Zdziczali zbierają się w grupy i wyruszają w różne strony. Prowadzili nomadyczny tryb życia, jednak jednoczyli się w obliczu zagrożenia. Teraz ich watahy liczyły już od dziesięciu do dwunastu członków, a takowych zauważono sześć tej nocy. Nagle obserwację przerwał krzyk jednego z żołnierzy i odgłosy strzałów. Rozproszony patrol został zauważony przez Zdziczałych, którzy wyruszyli przeciw nim. Rorsarch błyskawicznie odskoczył od okna, kiedy zauważył pod nim dwójkę przeciwników. Czujnik ruchu poinformował go o kolejnej dwójce w dziurze, przez którą wszedł. Jedyna droga ucieczki wiodła na schody, gdzie momentalnie rzucił się, wyjmując jednocześnie pistolet. Zdziczali nie czekali, tylko równie błyskawicznie ruszyli w jego kierunku, wydając z siebie posępne jęki. Rorsarch zdążył wejść na piętro i ostrzelać wchodzące po schodach istoty. Musiały wciąż wchodzić do budynku, gdyż naliczył już sześć trupów. Nagle przez okno na piętrze wdrapał się kolejny Zdziczały, który zdążył wymachem ręki uderzyć go w plecy. Odtrącił go kopniakiem i ostrzelał schody, po czym ostatnim pociskiem zastrzelił napastnika, który podnosił się z ziemi. Przeladował i wyjrzał przez okno, gdzie blisko dwudziestu Zdziczałych wchodziło do budynku. Również podsadzając się do wyżej położonych okien. Odgłosy strzałów z pobliskich zabudowań oznajmiały, że inni też żyją i mają ten sam problem. Budynek w którym przebywał był dwupiętrowy, jednak schody na drugi poziom zawaliły się, zostawiając ledwo kilka stopni. Rorsarch zaryzykował i wbiegł po tych kilku cementowych blokach. Pod koniec trasy jeden z nich się zawalił, przez co upuścił broń, gdyż musiał złapać się podłogi. Podciągnął się z trudem, jednocześnie wymachując nogami, które stały się obiektem zainteresowania Zdziczałych, którzy wkroczyli już na piętro. Stracił pistolet, ale wciąż miał karabin, którego po chwili użył i przerzedził szeregi przeciwników. Blisko dziesięć trupów później jeden z przeciwników wydał jakiś świdrujący okrzyk, po którym Zdziczali zaczęli opuszczać budynek. Korzystając z tego, Rorsarch wyjrzał przez okno i ustrzelił kilku uciekających przeciwników. Kiedy nastał świt, zszedł niżej i znalazł swoją broń i osiemnaście trupów. Z czteroosobowego patrolu jednego żołnierza trzeba było zbierać z ulicy, kolejny był pogryziony ale przeżył. Podczas nocnej potyczki zginęło natomiast czterdziestu dwóch Zdziczałych. Była to najprawdopodobniej spora strata dla ich populacji. Pogrzebawszy to co zostało z rozszarpanego żołnierza, wyruszyli w drogę powrotną. Już z daleka dało

się zauważyć prowizoryczne barykady i uzbrojonych zieloniaków. Patrol powitał dowódca miejscowych sił zbrojnych.

— Słyszeliśmy strzały dzisiejszej nocy, a zaraz potem grupa jakiś mutantów natarła na miasto. – wytłumaczył środki ostrożności. – Odeszli po blisko godzinnej strzelaninie, ale w wyniku zaskoczenia zginęło blisko dwudziestu naszych, kolejnych pięciu podczas walk.

— Też z nimi walczyliśmy, jeden z naszych zginął a od nich blisko czterdziestu. – odparł Rorsarch.

— My zastrzeliliśmy ledwo dwudziestu, nic nie widzieliśmy, ale oni chyba też.

— Zdziczali mogą wrócić, nie wiemy jaka duża jest ich populacja. Najprawdopodobniej widzieliśmy ich zgrupowanie przed natarciem, a część z nich zauważyła i zaatakowała nas. Nie pozwalajcie oddalać się z miasta pojedynczo, najlepiej nie ruszajcie na zachód. To ludzie, którzy oszaleli z głodu, są bardzo groźni. Ale chyba nie będą już sprawiać kłopotów, dużo z nich zginęło. Przynajmniej przez jakiś czas.

— Skoro to szajbusy, to pewnie nie będą się rozmnażać. Chociaż kto wie, instynkt bywa silny.

Żołnierze rozeszli się, a zieloniak dyskretnym gestem kazał Rorsarchowi zostać.

— Uważaj na Jarka, od nocnej bitwy zaczął świrować nieco mocniej niż zwykle. Poza tym wczoraj dwójka miejscowych pijaczków wytrzeźwiała i przyznała się do morderstwa Lemmyego. On w to nie wierzy i obwinia o to ludzi, więc uważaj na słowa. Jeśli dopuści cię do komputera, daj nam znać, my przygotujemy resztę.

Mając w głowie ostrzeżenie wojskowego, udał się do komnat Najwyższego. Z daleka dało się słyszeć jakieś wrzaski. W komnacie poza Jarkiem była dwójka zieloniaków, niechlujnie ubranych. Tłumaczyli się, że to oni zabili Lemmiego, bo wisiał im forszę. Najwyższy przy pomocy kopniaków oskarżył ich o kłamstwo i wyrzucił z komnaty. Rorsarch wszedł ostrożnie i zrelacjonował bitwę oraz to co wiedział o Zdziczałych.

— No i dobrze, przynajmniej te psie syny już nikogo nie zabijają. Jak mojego biednego brata! Okrutni ludzie, najpierw odbierają mi kota, potem brata! Ale zemszczę się na nich, nie ujdzie im to płazem!

Podszedł do małego terminalu i zaczął coś pisać. Nagle z głośników przed świątynią rozległ się komunikat:

— Jako wasz Bóg ogłaszam krucjatę przeciw niewiernym! Oczyszćcie miasto z plugawych ludzi, drwiących z mojej potęgi!

Słyszając ten komunikat i szczęk broni Jarka, Rorsarch błyskawicznie wytoczył się przez drzwi, próbując uciec ze schronu. Większość zieloniaków była jeszcze skołowana, niektórzy jednak zaczęli już wykonywać rozkaz. Jeszcze w schronie zastrzelił dwóch napastników, kiedy wyszedł na powierzchnię postrzelił kolejną dwójkę. Przemykając pomiędzy budynkami do obozowiska zwiadowców, odpierał pojedyncze ataki, jednak były niczym w porównaniu z pościgiem za nim, jaki wyruszył. Kiedy dotarł do obozu, napotkał uciekających w pośpiechu żołnierzy, do których się przyłączył. Wycofali się do Solca, gdzie natychmiast przerzucono ludzi z lewego brzegu do Czarnowa. Cały dzień trwało ściąganie wszystkich patroli w okolicy i obserwowanie rzeki. Pod wieczór dowódca bazy wezwał Rorsarcha i wyższych stopniem oficerów.

— Witam panów, sytuacja jest poważna. Tyfusy zerwały z nami współpracę i ogłosiły krucjatę przeciw ludziom. Moglibyśmy przeprowadzić natarcie na Bydgoszcz, ale najpierw chciałbym się poradzić człowieka, który spędził tam trochę czasu.

Rorsarch, domyślając się, że to o niego chodzi, zaczął opowiadać, o tym, że Bóg Tyfusów jest sterowany przez Jarosława, o spiskowcach i zagrożeniu ze strony Zdziczałych.

— Czyli sugerujesz, że przejęcie kontroli nad Skynetem mogłoby zakończyć konflikt? – spytał dowódca.

— Tak, niemal wszystkie Tyfusy ślepo słuchają jego rozkazów. Jednak najpierw chciałbym nawiązać kontakt ze spiskowcami, jeśli macie zamiar uderzyć na miasto.

— Jest ich sporo, nie dysponujemy dużą armią w okolicy, jednak przewyższamy ich technologicznie. Tylko jeśli zniszczymy miasto, może to się okazać nieco problematyczne. Bądź co bądź, to tylko grupka religijnych świrów.

— Która ma dostęp do broni plazmowej. – wtrącił Rorsarch. – Widziałem taką broń i nie wiem, czy jej nie użyją.

— Poczekamy do rana a następnie wyślemy zwiadowców żeby wybadali sytuację. Na razie zarządzam obserwację brzegu i całodobowe patrole wzdłuż niego w promieniu dwudziestu kilometrów od bazy. Wysłałem już raport do Kutna z prośbą o wsparcie, mamy tu ledwo piątkę ludzi z pancierzami termorozpraszającymi, jeśli Tyfusy mają dużo broni plazmowej, to mamy problem.

Nad ranem odbyło się kolejne zebranie.

– W nocy zginęła dwójka ludzi, kolejnych trzech ma ciężkie poparzenia. Mają snajperów z bronią plazmową na brzegu i strzelają bez skrupułów. Posłaniec z raportem powinien już dotrzeć do Kutna, wysłaliśmy go na naszym jedynym pojeździe. W ciągu dwóch dni powinno dotrzeć tu jakieś wsparcie. Do tego czasu musimy utrzymać się na brzegu. – zrelacjonował noc dowódca.

– Umocnienie się na brzegu nie ma sensu, rozwalą nas z daleka. – odparł jeden z oficerów.

– Przeprawa również nie ma sensu, przynajmniej nie tutaj. Przeniesienie pontonów kilkanaście kilometrów dalej może być coś dało. – zaproponował Rorsarch.

– To jest jakieś rozwiązanie

Wypowiedź przerwał człowiek, który wpadł do pokoju, krzyżąc.

– Przeprawiają się!

– Ogłosić alarm! – zarządził dowódca.

W bazie było łącznie dwudziestu dwóch ludzi, na patrolu była kolejna czwórka. Wszyscy wyszli na zewnątrz i przez lornetki obserwowali, jak dwie łodzie osłanianie przez snajperów, przybijają do oddalonego o pięć kilometrów brzegu. Było tam może około czterdziestu zieloniaków. Wszyscy ruszyli na prowizoryczne umocnienia, szykując się na natarcie. Rorsarch wziął obu snajperów, którzy byli w bazie i przemieścił się nieco bliżej brzegu, obserwując posunięcia przeciwników. Ci zaraz po wyjściu z łódek, zaczęli zabezpieczać teren. Nie czekając, aż to zrobią, wydał rozkaz rozproszenia się i ostrzelania ich, jak tylko snajperzy zajmą pozycję. Po pięciu minutach liczebność zieloniaków na tym brzegu zaczęła się zmniejszać. Zaskoczeni atakiem snajperów, zaczęli chować się za przeszkodami terenowymi, gdy nagle z drugiego brzegu zaczęły lecieć zielonkawe, rozedrgane kule plazmy. Nie był to zbyt celny ostrzał, gdyż jak każdy wyszkolony snajper, cała trójka nieustannie zmieniała swoje stanowiska. Kiedy blisko połowa zieloniaków wspomagała program rekultywacji gleb, reszta z nich zapakowała się na łodzie i zaczęła odpływać, osłaniając swój odwrót rozsiewanymi na czuja pociskami. Rorsarch zarządził powrót do bazy, gdzie odwołano alarm, po odparciu zieloniaków. Nawiązano też kontakt z kwaterą w Toruniu, która poinformowała, iż większość sił Federacji jest przygotowywana do dwóch dużych operacji, w tym jednej w tym rejonie i nie mają zbyt wiele czego przysłać, jednak obiecali wsparcie w postaci kilku najlepiej uzbrojonych

żołnierzy. Dowódca tym czasem ustalił plan działania. W jego pokoju leżała duża mapa okolicy, pomalowana markerami.

— Tutaj jest nasza baza. Pozycje Tyfusów są nieznane, ale wiemy, że są na zakręcie Wisły. Doszło już do czterech bitew z ich siłami, regularnie lądują tutaj małe oddziały. Starają się zabezpieczyć pozycje około trzy kilometry od nas, jeden z ich oddziałów został wyparty z przygotowywanych umocnień. Planujemy przerzucenie zwiadowców w Solcu i kontrnatarcie, jeśli zieloniacy umocnią pozycje. Zwiadowcy muszą dostarczyć nam informacji o ich liczebności, bez tego nie wyprawimy się za rzekę. Rorsarch, musisz dotrzeć do Bydgoszczy i skontaktować się ze spiskowcami. Skoro są tak zależni od komputera, musisz się do niego dostać i przeprogramować. My w tym czasie przerzucimy komandosów, którzy przybędą z Torunia, i zajmiemy się snajperami. Do tego czasu będziemy się bronić.

Oddział zwiadowców bo godzinie był już przygotowany do drogi, Rorsarch razem z nimi przeprawił się pod osłoną ciemności do Solca. Żołnierze wyruszyli wzdłuż rzeki, utrzymując łączność radiową z bazą, natomiast Rorsarch udał się do Bydgoszczy, gdzie nie miał pojęcia jak, ale musiał skontaktować się ze spiskowcami. Kiedy już świtało, uliczki Bydgoszczy ukazały zmilitaryzowaną społeczność. Niemal każdy zieloniak był uzbrojony a z głośników Skynetu dało się słyszeć co jakiś czas nawoływania do zmiecienia ludzi z powierzchni ziemi. Obserwując, jak mieszkańcy miasta wykonują swoje codzienne czynności, znalazł dom, w którym spotkał się ze spiskowcami. Po kilku godzinach nadszedł Harold i dwójka innych zieloniaków. Rorsarch schował się w pobliskim budynku, skąd mógł słyszeć rozmowę.

— Nie mamy dużo czasu. Rozkazy jakie każe wydawać Jarek, są głupie. Co chwilę wraca do nas zdziesiątkowany oddział z tamtego brzegu. Musimy działać.

— Jak? Nie mamy dostępu do komputera, Jarek jest strzeżony całą dobę przez najbardziej lojalnych mu żołnierzy.

— Może jakiś zamach, bomba?

— Nie da rady, kontrolują wszystkich wchodzących do schronu. Kazali nawet zaminować wejście awaryjne. Nikt się tam nie dostanie. Jakie są szanse buntu w armii?

— Morale spada z powodu niepowodzeń, coraz więcej żołnierzy ma dość tej wojny. Może udałoby się ich przekonać do poparcia naszej sprawy. Tylko wszyscy wciąż wierzą w Boga i będą mieć opory, przed

pomocą w obaleniu Najwyższego. Jedynie ludzie mogą nam pomóc, ale nie skontaktujemy się z nimi.

— Możemy jakoś zdobyć łódkę albo ponton, żeby przekroczyć rzekę w innym miejscu?

— Wszystkie są używane w bitwie. Nie wydostanę żadnej z nich.

— Panowie, mogę wam jakoś pomóc? – przerwał rozmowę Rorsarch.

— Rorsarch? Jak ty się tu dostałeś? – odparł zdumiony zieloniak.

— Powiedzmy, że pilnujecie brzegu jak ostatnie pierdoły. Mam wspomóc waszą rewoltę, jest w pełni popierana przez Federację.

— Dopóki nie wejdziecie tutaj z armią, nie damy rady. Jak zapewne słyszałeś, wejście do bunkra jest niemożliwe. Ja mogę tam wejść, ale przeprowadzają drobiazgowo kontrole. – ujawnił całość sytuacji dowódca sił zbrojnych Bydgoszczy.

— Jak wygląda sytuacja w środku? Dużo żołnierzy?

— Około dwudziestu, razem z wartą przed wejściem.

— Musisz opóźnić inwazję, wydawać takie rozkazy, żeby to się nie udało. Ja w tym czasie ściągnę tu drużynę komandosów i spróbujemy przebić się do bunkra. Jednak do tego czasu nie możecie przejść przez rzekę.

— Zrobię, co się da, ale musisz się spieszyć.

Rorsarch bezzwłocznie udał się do Solca, gdzie przespał się i złapał komandosów zaraz po tym, jak przybili do brzegu. Nakreślił im plan ataku na bunkier i przy pomocy radia potwierdził go z dowództwem, które wysłało piątkę ludzi do wyeliminowania snajperów, jednak w tych okolicznościach zostali oddelegowani pod dowództwo Rorsarcha. Byli uzbrojeni w broń energetyczną, ale krótka broń palna była wytłumiona, co dało kilka opcji wejścia do bunkra. Dostali jednak dwadzieścia cztery godziny na przeprowadzenie ich operacji, gdyż po tym czasie rozpocznie się szturm na wioskę Tyfusów. Rozpoczęto już przygotowania do przerzutu wojsk na drugi brzeg, jeśli próba sabotażu się nie powiedzie, dojdzie do szturm. Kiedy zapadła ciemność, rozpoczęli próbę wejścia do schronu. Przy głównych wrotach stała dwójka strażników, dwa strzały z pistoletu z tłumikiem później nie było już żadnego. Szybko wciągnęli zwłoki do środka i zablokowali włącz. Oddalało to zagrożenie ewentualnej odsieczy, ale odcinało im drogę ucieczki. Wnętrze było oświetlone elektrycznym światłem, które w pewnym momencie zgasło. Natychmiast włączyli noktowizory i zauważyli trzech zieloniaków, którzy wyskoczyli

zza rogu i zaczęli strzelać. Jeden strzał z karabinu plazmowego pozbawił dwóch z nich ręki, kolejny spalił tors jeszcze całego Tyfusa. Pozostała przy życiu dwójka, pozbawiona jednej z kończyn, zaczęła uciekać, jednak momentalnie na plecach każdego z nich pojawiła się wielka, skwiercząca kula plazmy, która wypaliła skórę i organy wewnętrzne. Rozległy się okrzyki i komandosi rozproszyli się po szerokim korytarzu, natomiast Rorsarch wszedł do jednego z bocznych pomieszczeń i spróbował się włamać do systemu, przez miejscowy terminal. W holu rozbrzmiewały strzały i gniewne okrzyki, system tymczasem pozostawał niewzruszony na hakerskie próby. Wyszedł ostrożnie na korytarz, który od jego ostatniej wizyty ozdobiły fragmenty ciała jakiś sześciu zieloniaków. A może siedmiu, nie zdążył policzyć kończyn, które zwykle zostawały po trafieniu plazmą w tors albo głowę. Jeden z komandosów wszedł do świątyni i momentalnie rozerwało go na strzępy. Kolejny rzucił do pomieszczenia łuskę karabinową, która latała chaotycznie w lewo i prawo, nad strzепami żołnierza. Zieloniacy musieli wytworzyć spore pole magnetyczne, które uniemożliwiało dalszą podróż. Granat później, który zniszczył generatory pola, wyskoczyła dwójka gwardzistów, która zdołała wystrzelić w stronę komandosów z broni energetycznej, jednak ich pancerze rozpraszały ciepło. Pojawiła się kolejna para, która ciągłym ogniem plazmowym, przekroczyła punkt krytyczny zbroi i komandos nie zdołał uciec. Pozostała trójka uporała się z przeciwnikami i dotarła pod komnaty Najwyższego. Kiedy zakładali ładunki wybuchowe, drzwi eksplodowały i wyleciał przez nie granat. Zbroje uchroniły komandosów przed śmiercią, jednak jeden z nich w wyniku eksplozji był nieprzytomny. Grad kul, który wysypał się z pokoju, zmusił żołnierzy i Rorsarch do ukrycia się za winklem. Ogluszony komandos leżał kawałek od drzwi i był tam póki co bezpieczny. Kolejny granat, tym razem odbity od framugi, wylądował idealnie za rogiem, powodując ucieczkę całej trójki. Jednak materiał wybuchowy rozsadził ścianę, a dziura utworzyła alternatywne przejście. Natychmiast zaczęli strzelać przez dziurę, zaskakując obrońców. Ci jednak nie pozostali dłużni i pancerze komandosów zaczęły się przegrzewać, przez co musieli zmniejszyć częstość ostrzału. Naruszona eksplozjami ściana działała powoli nie wytrzymała trudu ostrzału i stawała się coraz mniej stabilna. Rorsarch postanowił to wykorzystać i napierając na nią razem z żołnierzami, zdołał ją rozchwiać a następnie przewrócić kopniakiem, z bezpiecznej odległości. Błyskawicznie odskoczył i schował się za betonową mównicą, komandosi natomiast

kontynuowali ostrzał zza ławek. W pokoju było trzech żywych gwardzistów i Jarek, który zaczął krzyżeć.

— Nie wyjdziecie stąd żywi! Nigdy!

Uderzył w coś i usłyszeli złowrogie pikanie. Rorsarch wyrwał delikatnie i zobaczył olbrzymi ładunek konwencjonalny.

— Odwrót do cholery, musimy opuścić bunkier! – krzyknął do żołnierzy. Ci zabrali swojego ogłuszonego towarzysza i osłaniani przez Rorsarcha, wydostali się ze świątyni. Teraz to oni osłaniali jego odwrót, starając się nie trafić w gigantyczny pakunek z zapalnikiem zegarowym. Ten pikał coraz natarczywiej i nie pozostawiał żadnych złudzeń co do dalszych losów bunkra. Wycofali się do wrót, które zablokowali podczas szturm. Schowali się po bokach i otworzyli je, celując zza osłon w wejście. Było pusto, jednak taki stan nie mógł trwać długo. Wybiegli i schowali się w budynku, w którym ukryli zwłoki strażników. Po chwili potężny wstrząs poruszył ziemią i wprowadził wszystko w drgania. Wejście do schronu zawaliło się a okoliczne zieloniaki zaczęły ścigać tłumnie w tę okolicę. Opuszczenie miasta było niemożliwe, gdyż zbyt wielu Tyfusów było w okolicy, musieli poczekać, aż dotrą tutaj wojska Federacji, które powinny już wylądować na brzegu. Wokół zapadniętego wejścia do byłej świątyni gromadzili się kolejni zieloniacy, głośno rozpaczając po utracie swoich przywódców. Wśród żałobnych jęków rozlegały się głosy, nawołujące do zemsty na ludziach. Dość szybko stały się one dominujące i żadne krwi Tyfusy rozpoczęły budowę umocnień i dozbrajanie się.

*

Nad ranem w mieście gotowe były już umocnienia, tymczasem pod nim czekała już mała armia Federacji, która przygotowywała się do szturm. Dzięki komandosom udało się nawiązać łączność radiową z nimi i zrelacjonować sytuację. Miasto było zamknięte, wszyscy czekali w napięciu na natarcie Federacji. Jednak Rorsarch ani komandosi nie mogli ujawniać swojej pozycji, gdyż momentalnie zostaliby zmieceni z powierzchni ziemi. Wdrapali się na najwyższe piętro i przez lornetki obserwowali rozwój sytuacji. Po blisko godzinie, przez radio usłyszeli rozkaz przygotowania do szturm, jednocześnie poproszono ich o odwrócenie uwagi obrońców. Stało na wyrzuceniu z budynku kilku ładunków wybuchowych, które powinny wylądować na ulicy i pobliskich umocnieniach. Trzy pacuszki z zapalnikami czasowymi wskazującymi

trzy minuty, wyleciały z czwartego piętra, powodując po chwili uszczuplenie sił obrońców i ostrzał budynku.

— Kurwa, strzelają do nas, lada chwila wpadną na pomysł użycia granatów! – krzyczał komandos do nadajnika radiowego. Seria trzasków nie udzieliła odpowiedzi, ale odgłosy strzałów i eksplozji kilka ulic dalej uświadomiły ich, że rozpoczął się szturm na miasto. Ostrzał budynku uległ zmniejszeniu, jednak był kontynuowany. Rzucili przez okno kilka granatów i korzystając z chwilowego zamieszania, wyrzeli na ulicę. Pod budynkiem leżało kilka rozczłonkowanych ciał, dwa małe leje uwidoczniały miejsce lądowania materiałów wybuchowych, kilku zieloniaków właśnie wchodziło do budynku. Słyszając krzyki na parterze, przeszli szybko na trzecie piętro, gdzie schowani w pomieszczeniach, oczekiwali na wtargnięcie przeciwników. Najpierw wylądował granat, który zostało odkopnięty przez najbliższego komandosa w czarnej zbroi. Kolejny, rzucony na oślep, trafił w jego hełm i odbił się, wracając do nadawców. Dwie eksplozje pozostawiły jednak uszczerbek na stanie budynku, który stawał się niestabilny. Zauważyli to również napastnicy, gdyż opuścili budynek i zaczęli najprawdopodobniej wrzucać materiały wybuchowe przez okna na parter. Coraz bardziej niestabilna konstrukcja zaczęła się zawalać, przez co obrońcy musieli salwować się ucieczką, osłanianą przez granaty dymne. Kiedy udało im się wyskoczyć z budynku i przedostać do następnego, usłyszeli złowrogi świst i głuchy odgłos eksplozji. Najprawdopodobniej szturm został odparty i miasto było ostrzeliwane z moździerzy. Zastanawiając się, czemu nie zrobili tego od razu, schowali się w parterowych ruinach jakiegoś magazynu, by obserwować jak ich poprzednie schronienie zapada się jak domek z kart. Zieloniacy byli pochłonięci obroną, pociski moździerzowe niszczyły miasto, jednak umocnienia wytrzymały ten ostrzał. Komandosom udało się nawiązać kontakt z siłami oblegającymi miasto.

— Tu Sokół Maltański, słyhać mnie? – nawiązywał łączność jeden z żołnierzy.

— Sokół, słyszymy cię. – przez trzaski przedarł się głos rozmówcy. – Jesteście wciąż w mieście?

— Zgadza się, kilka ulic od umocnień ze strony wschodniej.

— Mają pole minowe, staramy się je wysadzić, w najbliższym czasie nie damy rady się przebić. Spróbujcie utrzymać swoją pozycję przez najbliższy czas. W ciągu kilku godzin ponowimy natarcie.

— Zrozumiałem, bez odbioru.

Korzystając z gruzów, jakie zostały po zawaleniu się sąsiedniego budynku, szybko zbudowali prowizoryczne umocnienia i nie wychylając się, oczekiwali na odsiecz. Niestety po blisko godzinie, zostali zauważeni i małą grupką Tyfusów skierowała się w ich stronę. Rorsarch i żołnierze objęli swoje stanowiska i zaczęli przetrzebzać szeregi wroga. Ci szybko zrozumieli, że nie dadzą rady metodami typowo radzieckimi i po chwili kilka granatów wylądowało w okolicy umocnień. Odłamki latały dookoła, jednocześnie w barykadzie pojawiło się kilka dziur, do których celowali granatami wrogowie. W połączeniu ze stałym ostrzałem górnych części prowizorycznych umocnień, obrońcy nie byli w stanie odpowiedzieć ogniem. Z każdą chwilą gruz zmieniał się w coraz większą kupkę odłamków, zmuszając Rorsarcha i komandosów do schowania się po bokach magazynu. Wrogowie zaprzestali ostrzału i zaczęli się zbliżać do zdemolowanego wejścia. Pierwsza dwójka która weszła do środka, nie zauważyła nawet, co ją zabiło, kolejnych dwóch zdążyło spostrzec obrońców. Rorsarch w międzyczasie znalazł małą szczelinę, przez którą mógł wysunąć lufę karabinu, z czego skwapliwie skorzystał. Przed budynkiem, za murkiem siedziało trzech snajperów, którzy czekali, aż ktoś wychyli się z budynku. Mając ich na muszce, zaczął strzelać. Kiedy tylko pierwszy z nich padł na ziemię, pozostała dwójka położyła się za murkiem, stając się nieosiągalnym celem. Komandosi odkryli w międzyczasie zejście do zniszczonego systemu kanalizacyjnego, które mogło przetransportować ich w inną część miasta. Nie czekając ani chwili, cała czwórka zeszła do podziemia. Większość szlaków była zawalona, jednak jeden prowadził na północ, czyli mógł prowadzić za miasto. Niestety kończył się po chwili, jednak wyjście znajdowało się na ulicy, tuż za umocnieniami. Żołnierz, który jako pierwszy miał wyjść, wyjął kilka granatów i rzucił w stronę nieświadomej zagrozenia obsługi umocnień. Rzucone ładunki rozerwały zieloniaków, jednak reszta obrońców natychmiast zaczęła strzelać w stronę studzienki, przez co opuszczenia kanałów stało się niemożliwe. Kolejny szlak prowadził na południe, jednak na klapie znajdowało się coś ciężkiego, co uniemożliwiało jej podniesienie. Ostatni tunel prowadził na wschód. Podróż zakłóciła seria głuchych eksplozji, która spowodowała kilka wstrząsów i pęknięcia stropu. Rorsarch podejrzewał, że w końcu trafili w miny i wysadzili większość z nich. Tym razem wyjście znajdowało się w jakiejś bocznej uliczce, którą szybko opanowali. Wśliznęli się przez okno do pobliskiego budynku i zorientowali się, że są obok wschodnich

umocnień. Kilkanaście metrów przed nimi, przemykali ludzie w zielonych pancerzach, strzelając w kierunku Tyfusów. Utrata pola minowego była poważnym ciosem dla zieloniaków, jednak umacniane na bieżąco barykady wydawały się nie do przejścia. Komandosi nie czekając długo, zebrali dostępne ładunki wybuchowe, połączyli ze sobą, wyjęli zawleczkę z jednego granatu wchodzącego w skład tej zabójczej przesyłki i rzucili przez okno na gniazdo karabinu maszynowego, przez co zostali zauważeni. Olbrzymia eksplozja jednak przyćmiła wszystko i przerwała ciągłość muru. Momentalnie przez wyrwę wysypało się kilku ludzi w zielonych pancerzach, obejmując kontrolę nad fragmentem umocnień, za chwilę całą barykadą. Tyfusy wycofały się w głąb miasta, kontynuując ostrzał. Rorsarch i żołnierze, wyczerpani bo niemal dwudobowej misji, przedostali się za mury i dotarli do namiotu dowodzenia. Podczas zdobywania pierwszej linii umocnień zginęło osiemnastu żołnierzy Federacji, co stanowiło blisko połowę stanu osobowego, wzmocnionego kilkoma drużynami z bazy w Kutnie. Dowódca wysłuchał raportu na temat niepowodzenia misji przeprogramowania Skynetu i odprawił całą czwórkę na odpoczynek. Bitwa uległa zastopowaniu, druga linia obrony była bardzo dobrze umocniona a kanały się zawaliły, przez co nie istniała możliwość przejścia na drugą stronę pod ziemią. Noc minęła na ograniczonej wymianie strzałów pomiędzy obrońcami a nacierającymi. Ci pierwsi byli liczni, ale słabo uzbrojeni, drudzy byli świetnie wyposażeni w liczbie dwudziestu trzech plus Rorsarch. Zapanował status quo, który miał zostać według obietnic dowódcy, przełamany następnego dnia, gdy dotrze przesyłka o nieujawnionej zawartości z Torunia. Zapadał zmierzch, gdy kurier dostarczył zieloną skrzynkę, która zawierała trzy duże granaty. Rorsarch otrzymał dowodzenie nad drużyną komandosów, z którą wydostał się z miasta i mieli wrzucić je za barykady. Kiedy przedostawali się na drugą stronę, wróg nie zauważył ich posunięcia. Ostrożnie przesuając się w okolice umocnień, zastanawiali się, co też zawierają te granaty. Kiedy zbliżyli się do umocnień z gruzu, odbezpieczyli i rzucili za nie granaty. Rozległ się syk i pojawił się gęsty dym, od którego Rorsarcha zapiekło w gardle i zaczęło robić mu się ciemno przed oczami. Jak przez mgłę słyszał tylko jakieś okrzyki towarzyszącej mu trójki.

Obudził się w zrujnowanym budynku, z towarzyszem ze snów, którego wolał nie oglądać.

– Znów mordujesz ludzi, tym razem metodami, których nie powstydziliby się niejeden zbrodniarz. – przemówiła nieprzyjemna, płonąca czarnym ogniem czaszka.

– Możesz się ode mnie odwalić? Nie wiedziałem, co to.

– Ale mogłeś podejrzewać, domyślić się.

– I co, miałem po prostu odejść, mówiąc “Nie no, znajdźcie kogoś innego, mi się nie chce.”?

– Czemu w ogóle związałeś swój los z Federacją?

– Płacą za mój wizerunek, przy ich zleceniach można dostać trochę forsy i odkryć kilka schronów. Nic więcej.

– Tym razem ci się nie udało, Skynet jest zniszczony a ty umierasz od gazu bojowego. Nie ma co, same profity z tej przynależności.

– Gdyby nie oni, – odparł Rorsarch, siadając na podłodze – nie miałbym tylu informacji. Poza tym, jestem wolnym strzelcem, robię co chcę. Wybrałem się tutaj tylko po to, żeby zdobyć kilka informacji. Nie miałem zamiaru eksterminować lokalnych populacji.

– Nie miałeś zamiaru wtedy zabijać tamtej piątki bandytów, jednak stanęli ci na drodze. Nie chciałeś, ale strzelałeś razem z kompanem. To wtedy pierwszy raz zabiłeś człowieka, świadomie. – z przekąsem rzuciła czaszka.

– Nie miałem wyjścia, albo oni albo ja!

– Jako lekarz ślubowałeś służyć życiu i zdrowiu ludzkiemu, a aktualnie odbierasz je bez mrugnięcia okiem.

– Czasy się zmieniły, co chwilę ktoś ginie bądź jest ranny. Pustkowia to dzikie miejsca, każdy chce przeżyć, to że kosztem innych nie ma już znaczenia. Myślisz że ktoś przestrzega konwencji genewskiej? Przyrzeczeń lekarskich?

– Ktoś dał ci prawo do pozbawiania innych życia?

– A innym ktoś dał? Jesteś wyrzutem mojego sumienia, ale nic na to nie poradzę, albo będę zabijał, albo mnie ktoś kropnie. Takie zasady rządzą tym światem.

– Teraz jednak bierzesz udział w mordzie. Myślisz, że użycie broni chemicznej jest dobrym rozwiązaniem? Zdajesz sobie sprawę z tego, że te istoty nie miały szansy obrony przed tym? O ile przedtem nie byłeś mordercą, teraz już nim jesteś.

– Trudno! Nie ja byłem świrem, który postanowił wymordować całą ludzkość! To nie ja doprowadziłem do tej całej sytuacji! – krzyczał

Rorsarch zarówno w świecie swoich majaczeń jak i w realnym, uspokajając niosących go ludzi.

— Co z tego? To ty ostatecznie dopuściłeś do rzucenia granatów z gazem bojowym a teraz zapewne sam umierasz od niego. Nie ty to zacząłeś, ale masz gigantyczny wkład w zakończenie tego. Ludzi nie będzie obchodzić, dlaczego to się stało, będą wiedzieć, że to ty to spowodowałeś. Obudź się, czas umierać Rorsarch, czas umierać.

— Obudź się, — jak przez mgłę słyszał czyiś głos. — otwiera oczy, przeżył. — głos stawał się coraz wyraźniejszy. — Proszę nie wstawać, nie jesteś jeszcze w pełni świadomy.

— Co się stało? — bełkotliwym głosem spytał Rorsarch.

— Nie miałeś maski gazowej, ale zdążyli cię stamtąd zabrać. Fosgen na szczęście nie dostał się do twojego organizmu w dużej ilości, ale przez jakiś czas

Znów zrobiło mu się ciemno przed oczami i zemdlał.

